

MAŁŻEŃSTWO – ŚMIERĆ DLA EGOIZMU

Czym jest małżeństwo? Tak trudno prosto odpowiedzieć na to pytanie. Już od dawna noszę się z pragnieniem podzielenia się z innymi tym, jak wygląda moje małżeństwo. Na szczęście, mimo przewidywań moich bliskich, nie przyzwyczaiłam się do swojego męża, nadal go kocham, tęsknię, często mnie zaskakuje. Jesteśmy razem 12 lat, a nasza miłość jest ciągle świeża. Czuję, że on dba o mnie tak samo czule jak dawniej i nadal chętnie spędza ze mną czas.

Od samego początku sami budowaliśmy naszą relację. Według nakazu samego Boga: „opuści człowiek ojca i matkę swoją i staną się jednym ciałem”, zamieszkaliśmy sami, wychodząc ze swoich rodzinnych domów. To pozwoliło nam zbliżyć się do siebie, lepiej się poznać. Oczywiście nie od razu staliśmy się jednym ciałem. Jeszcze do dziś w wielu miejscach musimy się dopasowywać. Ciągłe jednak staramy się pamiętać o współmałżonku, często zapominając o sobie. Oczywiście próbujemy robić to wspólnie (nie zawsze nam wychodzi), bo jedna osoba nie może zbudować wspólnoty, a przecież małżeństwo to taka mała wspólnota.

Przez prawie 6 lat mieszkaliśmy we Wrocławiu. Urodziliśmy 3 dzieci. Czasami było lepiej, czasami gorzej. Zawsze jednak wiedzieliśmy, że mamy przyjaciół, wspólnotę, rodzinę. Słowem tych, którzy nas rozumieją, z którymi możemy się pomodlić, którzy nas wesprą i znowu będzie lepiej. Krzysiek pracował, a ja opiekowałam się dziećmi. Wspólnie rodziliśmy dzieci, co sprawiło, że był to nasz wspólny wysiłek, wspólny wkład w poczęcie i narodzenie potomstwa. Starłam się, aby on był zawsze ważniejszy dla mnie od dzieci (na początku było to bardzo trudne), ale i on zauważał moją pracę w domu (dziękował mi za wychowanie dzieci, przynosił kwiaty). Nasza „sielanka” się skończyła, gdy ze względu na brak mieszkania musieliśmy się wyprowadzić z Wrocławia. Zamieszkaliśmy z dala od wspólnoty, przyjaciół. Zostaliśmy zupełnie sami. Krzysiek dojeżdżał do pracy 60 km. Wyjeżdżał więc bardzo wcześnie, a wracał późno. Mimo tego staraliśmy się rozmawiać ze sobą, często kosztem snu. Uczyliśmy się słuchać siebie, a jednocześnie umierać dla swojego „ja”. Zdałam sobie sprawę z tego, że zarzucając Krzyskowi jego niektóre zachowania, chciałam go w tych miejscach zmienić. Zaczęłam więcej modlić się za niego. Oczywiście oprócz modlitwy nie zaprzestałam pokazywać, że pewne zachowania uderzają we mnie lub w naszą rodzinę. Czasem trudno jest przyjąć napomnienie, ale staramy się uczyć tego.

Niedawno, dzięki naszemu przyjacielowi, zdałam sobie sprawę z tego, że będąc z dala od Wrocławia, zostaliśmy zdani na siebie, uzależnieni jedynie od siebie. Nikt już nam nie mógł pomóc, nie mogliśmy z nikim się pomodlić, porozmawiać. Jednocześnie zobaczyłam, że na moim mężu mogę polegać, że nie muszę mu robić wymówek, że on sam chce troszczyć się o nasze dzieci. Widzę, że potrafimy się uzupełniać wzajemnie. Moje słabe miejsca on doskonale potrafi wypełnić i sądzę, że to działa również w odwrotną stronę. Ufam jemu, tak jak on ufa mi. Wiem, że spokojnie zostawiam dzieci pod jego opieką, ale i on nie sprzeciwia się moim zasadom wychowawczym (na temat wychowania dzieci chcielibyśmy napisać osobne rozważanie).

Zdaję sobie sprawę, że to brzmi jak sielanka, ale musieliśmy się tego uczyć i nadal uczymy. Każdy dzień naszego małżeństwa, to śmierć dla własnego egoizmu. Staramy się żyć zgodnie ze słowami św. Pawła: „bądźcie sobie wzajemnie poddani”. Próbujemy nasze małżeństwo budować wspólnie, wzajemnie poddawać sobie siebie. Często jest to bardzo trudne, a w obecnych czasach jeszcze cięższe, gdy gonitwa czasu nas przytłacza. Nie chcę się tłumaczyć, że nie mam czasu, ale pragnę i staram się rozumieć mojego męża. To prawda, że nie zawsze to mi się udaje, ale ciągle podejmowane przeze mnie próby prowadzą mnie dobrą drogą. Na szczęście Krzysiek też próbuje, więc sądzę, że idziemy wspólnie drogą naszego małżeństwa.

Na koniec przytoczę słowa ks. J.Twardowskiego: „bo jak dwoje, to musi być i Pan Jezus”. To On daje siłę i pomaga dźwigać trudy dnia codziennego i zbliżać się do siebie. Sądzę, że bez Jezusa budowanie wspólnoty małżeńskiej jest bardzo trudne, a czasem wydaje się wręcz niemożliwe. Aby to uczynić, musieliśmy zapomnieć o swoich potrzebach, a zacząć żyć potrzebami współmałżonka. Wiem, że naszym „sukcesem” jest to, że próbujemy uszczęśliwić tę drugą osobę, z którą zdecydowaliśmy się kroczyć przez całe życie. Zdajemy sobie sprawę z tego, że tylko idąc wspólnie w tym samym kierunku dojdziemy do właściwego celu. Podkreśliłam „wspólnie” ponieważ wiem, że małżeństwo budowane przez dwie osoby (wspólnie a nie każde z osobna) ma szansę przetrwania. Dlatego też decyzje podejmowane przez nas są naszymi wspólnymi, a ponadto staramy się, aby osoby trzecie nie wpływały na nas. Nie jest to łatwe, ale Jezus nie obiecał nam łatwej drogi, a mówiąc 12 lat temu „tak” mojemu mężowi byłam świadoma (może nie do końca), że codziennie muszę umierać dla siebie, a żyć dla Krzyśka bardziej niż dla dzieci, a on dla mnie.

Ania i Krzysiek Florczak